

M I C H A E L N E A L E

Rzeka

Przekład
Zbigniew Zawadzki

Wydawnictwo WAM

Słowo od autora

*Kiedy odwiedzają cię opowieści, zaopiekuj się nimi. I naucz się roz-
dawać je wszędzie tam, gdzie mogą się okazać przydatne. Czasami,
by przeżyć, opowieść może być ważniejsza niż jedzenie.*

Barry Lopez, *Crow and Weasel**

Zawsze uwielbiałem opowiadać historie, zwłaszcza przy-
jaciołom i rodzinie. Kocham dzielić się opowieścią o jakimś
mało prawdopodobnym wydarzeniu albo o kompromitują-
cej mnie samego gafie, albo o figlarnej rozmowie, którą pro-
wadziłem z którymś z moich dzieci. Nie ma nic lepszego niż
dobra historia.

Mój dziadek cudownie opowiadał. Często słuchałem opo-
wiadań z jego dzieciństwa, siedząc u niego koło pieca opa-
lanego drewnem z butelką piwa korzennego Chek w ręku.
Dziadek opisywał trudne życie podczas wielkiego kryzysu
(a więc w czasach, kiedy dorastał), wspominał, jak konstru-
ował sterowce firmy Goodyear** i jak dostosowany precyzyj-
nie do jego potrzeb kamper psuł mu się zawsze na jakiejś

* Tytuł po polsku brzmi *Wrona i łasica*. Barry Lopez to urodzony
w 1945 r. amerykański pisarz, fotografik i eseista znany z zaangażowania
w kwestie humanitarne i ekologiczne – wszystkie przypisy w tej książce
pochodzą od tłumacza.

** Od 1925 r. firma oponiarska Goodyear wykorzystuje w celach re-
klamowych niewielkie sterowce; te statki powietrzne są jednym z naj-
lepiej rozpoznawalnych znaków reklamowych w USA.

górskiej przełęczy – nieodmiennie w trakcie którejś z naj-
sroższych zim.

Nigdy się nie zastanawiałem, czy te opowieści oparte są
na faktach, czy też są zmyślane. Po prostu lubiłem się zatrac-
cać w magii słów dziadka. Czułem, jakbym naprawdę do-
świadczał jego przygód i poznawał opisywanych ludzi, choć
miałem zaledwie osiem lat.

Inspiracją dla historii, którą zaraz wam opowiem, była
mozaika faktów, rozmów, zdarzeń z mojego własnego życia
i życia mojej rodziny. Mam nadzieję, że odnajdziecie w niej
także coś z waszych własnych opowieści. Nie wiem, na czym
to polega, ale zwykle tak właśnie bywa z historiami.

Michael Neale
2012 rok

Prolog

Od czasu do czasu zdarza się nam spotkać kogoś, kto – mówiąc najkrócej – całkiem zmienia nasze życie. Takim spotkaniem może stać się rozmowa lub kontakt z drugim człowiekiem – tak głęboki, że wydaje się nie z tego świata. Nie potrafimy potem wyrzucić zasłyszanej opowieści ani z głowy, ani z serca.

Trudno wytłumaczyć, dlaczego niektóre historie są w stanie rezonować tak silnie na różnych poziomach naszej duszy; często chodzi zapewne o to, że przemawiają do nas szczególną mocą zawartą w nich namiętności, bólu czy radości. Może takie opowieści w sposób dla nas samych nieuświadomiony docierają prosto do najgłębszych zakamarków naszych serc?

Nie sądzę, żeby do tego typu spotkań dochodziło przypadkiem. Uważam, że zawsze istnieje jakiś powód, choć nigdy nie zrozumiemy w pełni, jak naprawdę powstaje tkanina zdarzeń po naszej stronie wieczności. Ja też przeżyłem takie właśnie spotkanie z pewnym człowiekiem. Poruszyło mnie ono do głębi – do tego stopnia, że muszę się z wami nim podzielić. Będę się zresztą dzielił tą historią aż do swojego ostatniego tchnienia. Zanim przeczytacie kilka następnych stron, powinniście przygotować sobie kubek kawy – albo szklankę piwa korzennego z gałką lodów – a potem usiąść wygodnie i pozwolić mi, bym opowiedział o rozmowie, którą przeprowadziłem z człowiekiem, który nazywał się Gabriel Clarke.

Wszystko zaczęło się podczas podróży powrotnej z zachodniego wybrzeża do Nashville. Pierwszym etapem był lot z Los Angeles do Denver, gdzie wylądowałem w pewien wtorek o godzinie 18.30, kiedy na tamtejszym lotnisku ruch był już nieco mniej intensywny. Byłem wyczerpany po dwóch dniach nieustających spotkań – bez odpoczynku (kiedy jestem poza domem, nigdy nie mogę się dobrze wyspać) – i po męczącej podróży.

Nie jestem pewien, co takiego mają w sobie samoloty, ale wiem jedno: latanie sprawia, że czuję się nieświeży, brudny i odczuwam silną potrzebę wyszorowania zębów. Wsiadłem w Denver z samolotu z Los Angeles i podszedłem do monitora, żeby sprawdzić numer wyjścia, przy którym powinienem czekać na następny lot.

Zgodnie z planem podróży miałem mniej więcej pięćdziesiąt minut do początku rejsu do Nashville. Jednakże monitor twierdził coś zgoła innego. Jak jeleń wpatrujący się nieruchomo w światła jadącego nań samochodu, stałem i gapiłem się w ekran, mając nadzieję, że jakimś cudem napis OPÓŹNIONY zmieni się w ODPRAWA.

Niestety nic takiego nie następowało. Po krótkiej wizycie w toalecie rozpocząłem wędrówkę do mojego wyjścia, uskakując przed wózkami inwalidzkimi wiozącymi seniorów i starając się ignorować denerwujące dźwięki klaksonów. Kiedy dotarłem na miejsce, stwierdziłem, że mój lot wcale nie jest opóźniony: on był *odwołany* w związku z jakimiś technicznymi problemami z samolotem.

Niewiele mogłem zrobić poza ustawieniem się w kolejce podenerwowanych pasażerów, pragnących porozmawiać z personelem obsługującym nasze wyjście. Nie wykazując żadnej empatii i całkiem na odwal się urzędniczka wyjaśniła mi, że jedyne co może mi poradzić, to zamiana biletu na inny lot, rozpoczynający się o 22.50.

Szybko dokonałem krótkiego obliczenia. Biorąc pod uwagę różnicę stref czasowych, oznaczałoby to pójście do łóżka na naszej małej farmie, odległej o czterdzieści pięć minut drogi od Nashville, około godziny trzeciej nad ranem. Co za radość! *Uwielbiam* wracać do domu, ale nie w środku nocy, kiedy muszę stąpać na palcach jak włamywacz, próbując zapobiec obudzeniu dzieciaków przez nasze czekoladowe labradory.

Głęboko zaczerpnąłem powietrza i postanowiłem pogodzić się z losem. Miałem więc przed sobą trzyipółgodzinną randkę z terminalem C w Denver – nic na to nie można było poradzić. Zacząłem szukać jakiegoś spokojnego kąta, w którym mógłbym spędzić ten czas, czytając i słuchając muzyki. Była to rzadka w moim życiu okazja, żeby nacieszyć się wolnymi chwilami, więc pomyślałem sobie, że wykorzystam ją jak najlepiej.

Minąłem chyba z osiem kolejnych wyjść, aż znalazłem sektor poczekalni, w którym światła były przygaszone, zwieszony z sufitu wielki ekran telewizora wyłączony, a drzwi zamknięte. W całej sali nie dostrzegłem żywego ducha. Rozejrzałem się za najlepszym miejscem i upatrzyłem sobie rząd krzeseł w rogu z tyłu tego pomieszczenia, tuż obok okien wychodzących na płytę lotniska. Zadzwoiłem do żony i dzieci, żeby powiedzieć im dobranoc i przekazać wiadomość, że zobaczymy się dopiero rano.

Gdy się pożegnaliśmy, sięgnąłem natychmiast po iPoda, wsadziłem sobie do uszu słuchawki i odciąłem się od światła, słuchając ulubionej muzyki filmowej. Miałem też przy sobie powieść szpiegowską, którą zacząłem czytać jeszcze w samolocie z Los Angeles, więc wyciągnąłem ją z plecaka, rozsiadłem się, opierając nogi na krześle naprzeciwko, i wziąłem się do lektury. Jednakże po dziesięciu stronach moja samotność i błogostan nagle się skończyły.

Kątem oka zauważyłem postawnego człowieka, który zmierzał w moim kierunku. „Kto, na Boga, przywłókł się aż tutaj?! – pomyślałem. – Na pewno nie jest to ktoś, kogo bym znał ze swoich rodzinnych okolic”. Moje myśli pędziły w zawrotnym tempie. No i oczywiście: człowiek klapnął na krzesło o dwa miejsca ode mnie i otworzył płócienną torbę, która robiła wrażenie, że jest w niej dość sprzętu biwakowego i sportowego, żeby przejść Himalaje.

Nie mogłem w to uwierzyć: ze wszystkich miejsc dostępnych na lotnisku facet wybrał krzesło niemal tuż obok mnie! Dlaczego? Zignorowałem go, zanurzając głowę w książce, a on nadal gmerał w swej płóciennej torbie, sprawdzając różne części sprzętu i prowadząc jednostronną konwersację z samym sobą.

Podkręciłem trochę muzykę, westchnąłem głośno i wróciłem do lektury, próbując w ten sposób wysłać facetowi sygnał, że pragnę być pozostawiony samemu sobie. Kątem oka dostrzegłem jednak, że tamten nie przestaje na mnie popatrywać. Mógłbym przysiąc, że korci go, aby wdać się ze mną w rozmowę. Uniosłem więc w końcu wzrok znad książki i przesłałem Człowiekowi Gór nieco wymuszony uśmiech.

Miał co najmniej metr osiemdziesiąt wzrostu i budowę australijskiego gracza w rugby. Długie, kudłate włosy w przybrudzonym kolorze blond wylewały się spod wełnianej czapki barwy wojskowej zieleni. Gdyby kazano mi zgadnąć jego wiek, powiedziałbym, że jest w połowie drogi między pięćdziesiątką a sześćdziesiątką. Ubrany był w znożoną flanelową koszulę w kratę z podwiniętymi rękawami oraz szorty koloru khaki, na nogach miał buty do pieszych wycieczek i grube, termoizolacyjne skarpety wywinięte na kostkach. Jego skóra była opalona i ogorzała od wiatru, błękitne oczy uderzały krystaliczną przejrzystością, a zniszczoną twarz mężczyzny żłobiły zmarszczki. Wyglądał, jakby

właśnie wyszedł z kadru jakiegoś filmu dokumentalnego emitowanego na kanale Discovery.

Ten starszy ode mnie człowiek przyjrzał mi się i coś powiedział. Nie zdołałem go zrozumieć z powodu muzyki, którą sobie puściłem, więc wyjąłem z uszu słuchawki i poprosiłem:

– Przepraszam, nie słyszałem, co pan powiedział. Proszę powtórzyć.

– Pan wraca do domu czy wyjeżdża?

Nie było to zbyt oryginalne pytanie.

– Wracam do domu – odpowiedziałem z nadzieją, że to zdanie złożone z trzech słów posłuży za wskazówkę, że nie chcę, by mi przeszkadzano.

Ale nie udało mi się go zniechęcić.

– Ja też. Wyjechałem na ponad trzy miesiące. I już chciałbym się położyć we własnym łóżku.

Najpierw przygarbił się, a potem odgiął do tyłu w swoim krześle, wbijając wzrok w sufit. Miałem nadzieję, że nasza rozmowa właśnie dobiegła końca, co oznaczałoby, że mogę spokojnie powrócić do książki i muzyki.

Ale on znów rozejrzał się wokół siebie.

– Ile ma pan czasu do odlotu?

Teraz już wiedziałem, że muszę się po prostu poddać. Zamknąłem więc książkę i położyłem ją sobie na kolanach.

– Mam czas do dziesiątej trzydzieści – powiedziałem i zrelacjonowałem mu historię o odwołanym locie do Nashville. On zaś odrzekł, że zostało mu jeszcze sporo czasu do późnonocnego lotu na wschodnie wybrzeże.

Zaraz potem zaczęliśmy wymieniać typowe kurtuazyjne zdania.

– Skąd pan jest?

– Dokąd pan leci?

– Pogoda jest całkiem nieprzewidywalna, prawda?